

Bruno Kadyna

## Mruczenie do glizdy

Rozmemłany. Zadłużony i w kłopotach. Już się z tego nie wykaraskam. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyśleć, co będzie dalej.

– Wiadomo, co.

Ostatnio z pustostanu naprzeciwno wyjechał w worku kolejny bezdomny. Wyobrażam sobie czasami, że siedzę tam w kącie razem z nimi i tylko kombinuję, jak tu się sponiewierać, żeby uciec od sytuacji w której się znalazłem.

– Zniszczyć.

Tylko że ja nie lubię alkoholu ani niczego w tym stylu. I na pewno nie zamieszkać w takim syfie.

Odkąd pamiętam w moim życiu dzieją się same złe rzeczy. Dobre są tylko drobnostki, ale nie cieszą przez to ogólne rozmemłanie.

Sytuacja w tym nieszczęsnym kraju i na świecie też nie napawa optymizmem.

Na dodatek nabawiłem się poważnych kontuzji i nie mogę ćwiczyć. Utyłem i już nie czuję się sobą. Całe życie byłem wysportowany i silny, a teraz jestem... Sam już nie wiem, kim jestem.

– Rozmemłany.

Nie definiuje mnie wygląd zewnętrzny i tężyzna. Jednak treningi zajmowały lwią część życia i dziwnie jest bez tego.

W sumie nie wiem, co mnie definiuje.

– To, że niczego nie potrafię.

Jedynie na co mam ochotę, to umrzeć. Może to depresja? Nie wiem, nie znam się.

Zaczęło się jeszcze przed odejściem Marzeny. Potem rozmemłanie przybrało na sile. Nie wiem dlaczego. Nie żebym jakoś strasznie przeżył rozwód. Nasze drogi dawno się rozeszły. Tyle złego się zebrało, że w końcu przestaliśmy się kochać. Żyliśmy obok siebie przez kilka ostatnich lat.

Wiem, jak doszło do martwicy naszego małżeństwa. Mam niewyparzoną gębę i w kłótniach mówiłem przykre rzeczy, co tam sobie wymyśliłem, co mi się wydawało.

– Nieważne.

Ona cierpiała na chroniczne przypisywanie mi złych pobudek. Byłem dla niej psychicznym ciężarem, którego nie mogła znieść.

Nasze pokaleczone osobowości, skołtunione tak bardzo, że niemożliwe do

rozplątania – co dopiero utkania czegoś wspólnie – sprawiły, że zdechło nasze uczucie i związek stał się nie do uratowania. Myślenie o tym, jak bardzo to zapętliliśmy przyprawia mnie o ból głowy.

Zawsze mi się wydawało, że wspólne życie jest proste. Wystarczy zostawić z boku wszystkie pierdoły i myśleć dobrze o drugiej połowie, że skoro jesteśmy razem, to nam zależy, że jeśli ona, ja, jesteśmy tutaj, to chcemy dla siebie jak najlepiej. Proste jak drut. W teorii.

Nie wyszło nam i nie ma co tego roztrząsać. Było minęło.

Chciałem ostatnio jeszcze ten jeden raz spać się jakoś, żeby wyjść na prostą, żeby przestać być taki rozmemłany. Ale na to wszystko straciłem pracę.

Nie mogę zwalić winy na pracodawcę czy kogoś innego. Zawsze spieprzę, nawet gdy staram się w pocie czoła.

Kiedys próbowałem coś stworzyć, nauczyć się rysować, rzeźbić, grać na jakimś instrumencie... Zawsze z takim samym skutkiem. Mimo że łatwo się nie poddaję, jestem zacięty i staram się jak mogę, gównem z tego wychodzi.

– To też już nieważne.

Nie mam do kogo pójść po pocieszenie. Nigdy nie miałem. Może nie zasługiwałem, dalej nie zasługuję?

Marzena zwierzała się przyjaciółce. Tamta wiedziała o mnie wszystko, oczywiście z punktu widzenia żony. Dobrze, że nie utrzymujemy ze sobą kontaktu, bo miała spojrzeć Marzeny, patrzyła identycznie.

– Nieważne.

Ja nie mam przyjaciół. Nie widzę żadnych możliwości ani sensu, tylko jakąś mizerną, żenującą egzystencję.

– Coraz bardziej rozmemłany.

Czas zrealizować plan, który od dawna chodzi mi po głowie. Czekałem tylko na kolejne niepowodzenie.

Mam niecałego tysiąka na koncie, nic więcej, żadnego majątku, niczego cennego.

– Mogę jechać, tak jak stoję.

Drogę na dworzec kolejowy umilam sobie przerwą na wykwintny posiłek w restauracji. Nigdy nie mogłem sobie na taki pozwolić. Z pysznym deserem i kawą.

– Po takim jedzonku można umierać. – Puszczam oczko do kelnera płacąc rachunek.

– Dziękuję, bardzo nam miło. Przekażę kucharzowi.

Ciekawe czy pieniądze i wystawne życie nadałyby mu sens, czy tylko odwlekłbym nieuniknione albo czuł się jeszcze gorzej.

Bilet na drugi koniec Polski wsuwam do kieszeni. Zawsze lubiłem jeździć pociągiem i pierwszy raz pojedę pierwszą klasą.

Pieniądzy wystarczy mi tylko na szpadel. Powiniennem dostać go w jakimś sklepie spożywczo-przemysłowym, nie brakuje ich na wsiach.

Jest wspaniale, wygodnie i pusto. Pociąg usypia, zawsze lubiłem ten stukot, a teraz rytm przyjemnie uśmierza rozmęłanie.

Budzi mnie konduktor do kontroli biletu. Wyciągam telefon, żeby zobaczyć jak długo spałem, ale się rozładował. Łąduje w śmietniku, nie będzie mi już potrzebny.

W końcu pociąg staje na jakimś odludziu. Bywają takie stacje, sam peron i nic więcej, dokoła pola i prawie żadnych zabudowań, jedynie jakieś budy i garaże.

– Idealnie.

Wsiadam. Pociąg odjeżdża i maleje.

Cisza. Wiatr hula po peronie. Trochę mu zazdroścę tej wolności.

Widzę jakąś miejscowość w oddali. Daruję sobie ten szpadel. Nie mam ochoty na najmniejszy kontakt z ludźmi.

– Poradzę sobie.

Zamykam oczy i przez chwilę słucham wiatru.

Ruszam w kierunku kępy drzew na środku pola.

Wiatr podsuwa pod nos zapach ziemi. Świeżo zaorana pachnie wspaniale. Zawsze to lubiłem u dziadków na wsi. Siadaliśmy z kuzynostwem na skraju pola, graliśmy w karty, a ja wdychałem. Kiedy się zorientowali, że tak mi się podoba zapach ziemi, już zawsze przezywali mnie „Glizda”.

Nie pomylili się. Moja egzystencja ma podobne znaczenie, jeśli nie mniejsze. Glizdy spulchniają ziemię, a ja nie robię nic.

Zatrzymuję się. Zdejmuję buty i skarpety. Grzebię stopami w ziemi, świetne uczucie.

– Zimna.

W nocy są już przymrozki.

Drzewa coraz bliżej. Topole, lipy może, nie znam się. Kiedy jestem na miejscu wybieram jedno z większych.

– Chyba koty tak robią, kiedy czują, że umierają.

Szukają miejsca, żeby się zaszyć i umrzeć w spokoju.

Padam na kolana i rozgarniam podłoże rękoma. Najpierw liście, potem ziemię, tak żebym cały się zmieścił.

Poraniłem dłoń. Dużo tu korzeni, przez co udaje mi się zrobić wgłębienie jedynie na dziesięć, piętnaście centymetrów.

– Musi wystarczyć, Glizdo. Przydałby się jednak ten szpadel.

Dziwne, ale uczucie rozmemłania zniknęło. Mam cel, może to dlatego?

Kurtka i bluza łądzą za mną. Kładę się w dole. Otacza mnie przyjemny, intensywny zapach ziemi i opadłych liści, trochę orzechowa woń. Drzewa górują nade mną, kołyszą się nieśpiesznie. Resztkę liści trzymająca się gałęzi powiewa bezszelestnie, czasami odezwie się jakiś ptak.

Zamykam oczy. Myślę o swoim życiu i robi mi się niesamowicie smutno.

– Śpij.

Liczę na hipotermię, śmierć we śnie.

– Śpij.

Taka śmierć wymaga najmniej odwagi. Jesień załatwi sprawę.

Przekręcam się na bok, jak w łóżku. Stopy skostniały, chłód przenika w głąb ciała. Telepie mną jak nigdy.

Kiedy drgawki ustępują, pojawia się ból.

– Wy-trzy-mam.

Całe moje życie boli.

Mijają wieki, w końcu ból odpuszcza i ogarnia mnie senność.

Nie czuję kończyn, jestem bryłą. Mogę jeszcze uchylić powieki. Widzę brzeg swojego grobu i opadłe liście.

– Mmi, mmi.

Miało być „śpij, śpij”, ale usta nie współpracują. Nie muszą. I tak nigdy nie wypowiedziały nic ważnego.

Odpywam i wybudzam się na przemian, mam wrażenie, że jestem w łóżku. To złudzenie.

Już mi dobrze, teraz będę spał.

Wydaje mi się, że ktoś mnie dotknął. To chyba też złudzenie. Słyszę jakieś szelesty, ale mam to gdzieś, chcę spać.

Nie śpię. Dlaczego? Powinienem przecież. Znów mam dreszcze. Przecież hipotermia nie cofa się sama z siebie.

Śmierdzi wilgocią i psem. Otwieram oczy i faktycznie. Wielkie szare psisko leży obok mnie, wręcz się na mnie uwalilo, czuję jego ciężar i ciepło.

– E! – wołam.

Nie reaguje. Za to słyszę pomruk z drugiej strony.

– Hmrrmr.

Kark mam jak z drewna, boli kiedy unoszę głowę. Za mną leży drugi pies, podobny do pierwszego, duży i szary.

– Skąd wy tu?

Znowu mogę mówić.  
– Pokrzyżowaliście mój plan.  
– Zamknij się, niewdzięczniku – mruczy ten z przodu.  
Co jest?  
– Niech mówi – mruknął niższym głosem ten z tyłu.  
Popieprzyło mnie od zimna.  
– Nie jestem niewdzięcznikiem, starałem się. – Sam nie wiem, po co odpowiadam.  
– Po co tu przylazły te kundle?  
– Nie podoba ci się życie? – pyta ten za mną.  
– Wariactwo – mówię.  
Niedotleniony mózg wariuje, to jakaś ostatnia iluzja, którą próbuje się ratować zanim zgaśnie. Za chwilę przekroczę granicę. To koniec.  
– Umieram – mówię.  
– Martwy nie ma iskry życia. Ogrzewamy cię.  
– Po co?  
– Hmrrrm – mruczy ten z przodu.  
– Złe pytanie?  
– Głupi jesteś i tyle.  
Psy gadające ludzkim głosem. Co za głupota.  
– W powieściach Jonathana Carrola pełno jest gadających psów, za dużo się naczytałem – mówię, co mi szkodzi.  
Psy milczą.  
– Może i jestem głupi – znów się odzywam. – Inaczej może coś by się udało.  
– Możesz pomagać biedniejszym od nas, jak nasza pani, w naszym domu. Zwierzęta kochają ludzi, będziesz szczęśliwy.  
– Sobie nie mogłem pomóc, a co dopiero innym.  
– Wiele nie trzeba – mruknął ten z tyłu. – Zobaczysz.  
Psy mądrale. To ich pomrukiwanie tylko budzi żal.  
– Chcę spać – mówię.  
Ale nie mogę. Ciepło psów robi swoje, a chłód od ziemi przyprawia tylko o ból, może najwyżej wywołać chorobę.  
Wstaję, żeby pogonić kundle. Wszystko mnie boli i kręci mi się w głowie.  
– Sio stąd!  
Siedzą i patrzą na mnie, jakby czekały na żarcie.  
– Zostawcie mnie w spokoju. – Pokazuję kierunek, w którym mają spieprzać.  
Gapią się tylko.  
– Nic wam nie dam, nic nie mam.

Wyglądają na zadbane. W długiej sierści widzę obroże.  
Nic nie mówią. Wiedziałem, że mnie popieprzyło.  
– Rysiu! Żbiku! – Słyszę za sobą.  
Odwracam się. Kobieta. Psy ruszają ku niej.  
Chyba nie śpię, bo robi mi się niesamowicie głupio, jakbym został nakryty na czymś wstydliwym.  
To wstyd się zabić?  
Patrzemy na siebie. Mam nadzieję, że ta pani odwróci się i odejdzie. Ale co, jeśli powie komuś i przyjdą mnie odratować?  
– Dzień dobry – mówię. – Pani też na grzyby?  
Nie odpowiada, patrzy na moje bosa stopy. Podchodzi do mnie.  
Ale mi wstyd.  
Dobrze wie, co tutaj robię. Widziała pewnie, jak leżałem. Nie ma sensu pajacować. Zresztą, co mnie obchodzi jej zdanie.  
Prostuję się. Zobaczą czego chce.  
Ma prawie czarne włosy i bardzo kobiece kształty. Ciemne oczy jakby się śmiały. Nie ze mnie, po prostu mają taką oprawę. Wargi pełne, bardzo duże.  
Stoi bardzo blisko. Ładnie pachnie. Jest piękna.  
– Pomożesz mi? – odzywa się.  
Dziwne pytanie. Nie spodziewałem się.  
– W czym?  
Myślę o grzybach albo czy to wariatka. Wali do obcego na „ty”?  
– W ratowaniu twojej duszy.  
Nie wiem, czy to przez jej głos, słowa, urodę, czy dlatego, że za chwilę mam umrzeć, ale jakby uszło ze mnie powietrze. Nie czuję żadnego rozmęłania.  
Mówię do niej tak, jak zawsze chciałem do żony, jak do przyjaciela. Bez obaw.  
– Mojej duszy nie da się uratować.  
– Pozwolisz mi spróbować?  
Nie wiem, co powiedzieć. Nikt oprócz mnie nie próbował. Dlaczego ona chce?  
– Jak? – pytam. Nic innego nie przychodzi mi do głowy, może jeszcze pytanie, „po co?”.  
– Spróbuję dać ci cel. I potrzebuję pomocy, w schronisku. Pomożesz mi ze zwierzętami? Wiele nie trzeba. Pokochają cię.  
Patrzę na psy, a one na mnie. Jeden mruknął.